Nr. 4. Poznań, dnia 21. Stycznia 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

ALEKSANDER DUMAS.

(OJCIEC.)

Rys biograficzno-literacki

(z ryciną)

napisał

W. H.

I.

Przypuszczaliśmy, że śmierć zatrudniona od pięciu miesięcy na polu walki nieszczęśliwego narodu, oszczędzi znakomitego człowieka, którego zgon dziś zapisujemy. Od dwóch lat przeszło troskliwi przyjaciele genialnego pisarza, przeczuwali smutny koniec; widzieli Dumasa walczącego, że tak powiemy, przeciw pożerającéj słabości, z każdym dniem oddech stawał się cięższy, cierpiał duszność, która po razy kilka groziła nagłą śmiercią, otyłość i tak już wielka nabrała w ostatnich czasach rozmiarów chorobliwych; ale był to człowiek tak silnéj organizacyi, że patrząc na niego mówiło się z uśmiechem:

„On nigdy nie umrze!“

W ostatnich nawet chwilach wszyscy byli pełni nadziei; zdawało się, że silna natura chorego zwycięży słabość. Zgasł jednakże! i to zgasł w epoce, w któréj śmierć takiéj umysłowéj jak on potęgi, zagłuszona być musi, brutalnym hukiem armaty. My, jako więcéj oddaleni od sceny, na któréj straszny dramat ludzkości się odgrywa, poczuwamy do obowiązku poświęcenia słów kilku znakomitemu powieściopisarzowi, którego wpływ nie już we własnym narodzie, ale w całéj ucywilizowanéj Europie przez lat wiele czuć się dawał. Przejrzyjmy bowiem pułki europejskich czytelni, biblioteki teatrów, a przekonamy się, że do najwięcéj przez czas długi uwielbianych, najwięcéj entuzyazmujących utworów, należały dzieła autora Antony i Montechristo. Jeszcze przed laty kilkoma, już w chwilach upadku autorskiéj sławy Dumasa, byliśmy świadkami zapału, jaki wywoływały na scenach w Paryżu setne przedstawienia: „Angèle i Panny de Belle-Isle. Niechcemy przez to utrzymywać, że dzieła Dumasa należą do dzieł bezwzględnie dobrze pojętéj sztuki — noszą one wszystkie piętna nowoczesnego kierunku — autor uosabia w sobie dramat naszéj epoki. Apoteoza czynów obrażających wstydliwość, to ciągłe cudzołóztwo obok małżeństwa, to igranie z pochyłą występnością, razi zbytnim cynizmem i młodocianéj imaginacyi niewłaściwy kierunek nadaje. Jednakże po bliższém rozpatrzeniu się, słusznie powiada jeden z krytyków: dzieła Dumasa zdają się być raczéj nieobyczajnemi, niż niemoralnemi. Są one wszystkie najlepszą illustracyą epoki pełnéj wrzących namiętności, które i w literaturze odbić się musiały.

Ujemne strony dzieł Dumasa, są zarazem ujemnemi stronami jego życia. Nikt bowiem niemógł więcéj wyczerpać całego zasobu rozkoszy, przyjemności i szczęścia, jak autor Angèle. Wszystko co życie powabnego dać mogło on to posiadał. Jako przykład, że nawet u schyłku, niewolen był od przyzwyczajeń przeszłości, niech posłuży fakt

którego w Paryżu byliśmy świadkami. W teatrze Porte-Saint-Martin grano dramat Mazepa. Główną rolę Mazepy miała amerykanka Miss-Menken słynna z piękności, awantur miłosnych i ostatniéj sceny dramatu, w któréj Mazepa odarty z ubrania i przywiązany do konia step przebiega. Cały Paryż o niéj tylko mówił. Dostateczne to było, żeby imaginacyę Dumasa pleśniejącą już nawet, zapalić. Poznał się z bohaterką i wymógł na niéj pozwolenia fotografowania się razem, w pozach niezbyt przyzwoitości właściwych. Niepotrzebujemy nadmieniać, że tak Dumas jak i Miss-Menken, tajemnicę u fotografa zastrzegli. Tymczasem we dni kilka ukazują się we wszystkich oknach fotografów i wystaw obrazów, fotografowane pozy Dumasa i Miss-Menken. Hulaszczy, wesoły i lekki w ówczas Paryż, stawał przed oknami pytając z uśmiechem: „Czyż to nasz Dumas?...“ Upokorzony starzec zamknął się po tem zajściu przed ciekawym tłumem, i do prokuratoryi skargę przeciw samowoli fotografa zaniósł. Prokuratorya sprawę odrzuciła, ale trybunał opinii publicznéj ją przyjął i na niekorzyść skarżącego rozstrzygnął.

Bezwątpienia, że to co w życiu złem było i w jego publicznych pracach się odbija, że cyniczna tendencya w pismach Dumasa, jest ujemną stroną dzieł jego; ale nikt mu jednak odmówić nie może wysokiego talentu i szerokiego miejsca, jakie w literaturze francuzkiéj zajął. Dramata jak: Antony, Teressa, Angèle, jeszcze nie prędko zostaną wykreślone z repertuarów teatralnych, a Les Trois Mousquetaires i Le Comte de Montechristo długo jeszcze utrzymywać będą w gorączkowéj niecierpliwości i zajęciu czytającą publiczność.

Kto zna życie tego najpierwszego z francuzkich gawędziarzy, tém więcéj dziwić musi potężnemu umysłowi, który o własnych siłach Parnasu dobić się potrafił.

Dumas urodził się w roku 1803 w Pikardyi z rodziców biednych, tak dalece, że w 20 roku życia prócz fechtunku, jeżdżenia konno i gry w bilard, nie wiele więcéj umiejętności posiadał. W tymże wieku, mając zaledwie 50 frs. majątku, przybył do Paryża, gdzie generał Foy, dawny przyjaciel ojca, zajął się losem jego, i jako pięknie piszącego, w charakterze sekretarza przy księciu Orleańskim umieścił. Młody i żywy umysł Alexandra, otoczony dziełami sztuki i nauki, łatwo się z letargu obudzić potrafił — dnie i noce poświęcał pracy, by niedostatki pierwiastkowego wychowania choć w części wynagrodzić. Pierwszym owocem trudów i talentu był tomik powieści, ogłoszony w r. 1826, które atoli uznania w publiczności nie znalazły. — W lat parę potém widok przedstawionego Hamleta nadał myślom i uczuciom Dumasa kierunek inny. Z zapałem rzucił się do studyowania wielkiego tragika, po nim wziął się do Calderona, Schillera, Göthego. Pierwsze próby na tém polu młodego dramaturga nieukazały się nigdy na widok publiczny, dopiero w r. 1829 Henryk III i dwór jego, wstęp do Teatru Francuzkiego znalazł. Powodzenie przeszło wszelkie oczekiwanie. Zwolennicy po ukończonem przedstawieniu wołali głośno: „Już po Rasynie!“ Następnie w teatrze Odeonu przedstawiono Krystynę, a gdy w rok późniéj na scenie teatru Porte Saint Martin ukazał się Antony, już odtąd powodzenie literackie Dumasa ustalonem było. Szybko następnie szły po sobie nowe prace jak Karól VII i jego wielcy Wassalowie, Teressa, Ryszard Darlington, Wieża Nesle, Angèle, Karolina, Kean, Don Żuan, Panna de Belle-Isle i t. d. Działalność autorska Dumasa nie ograniczała się tylko na kierunku wyżéj wspomnianym. Brak nam miejsca na wyliczenie całego szeregu Powieści, Dramatów, Komedyi, Podróży i prac historycznych jak n. p. Galia i Francya i Kroniki Francuzkie — liczba dzieł pozostałych dochodzi nieprawdopodobnych rozmiarów.

W r. 1843 towarzyszył na ślub do Hiszpanii księciu Montpensier, zkąd na parowcu rządowym udał się w podróż do Afryki. — Czas ten był punktem kulminacyjnym popularności Dumasa. Ogromne dochody czerpane z pióra, wynoszące do 200,000 frs. rocznie, pozwalały mu na zadosycuczynienie chęci próżnéj błyszczenia i używania świata. Rzucał więc bez myśli w prawo i w lewo pełne garście złota, tak iż pomimo znacznych dochodów, zawsze był w bardzo przykrych interesach. Dla ich podźwignienia, założył teatr zwany Théatre Montpensier, zmieniony późniéj na Théatre historique, lecz rewolucya Lipcowa przedsięwzięcie to obaliła. Rzucał się jeszcze i na pole publicystyki i nawet w tym celu założył dwa dzienniki, które jednakże dla braku prenumeratorów upaść musiały. W r. 1843 ożenił się z aktorką Idą Ferrier, lecz w lat parę potem żyli już w seperacyi. Z téjże Idy Ferrier miał syna Alexandra, znanego dziś dramaturga i powieściopisarza, dla odróżnienia od ojca, zwanego z przydomkiem Syn.

Pomimo, że prawie do ostatniéj chwili życia niezmordowanie pracował, pomimo, że prócz trwonienia, tworzenie zajmowało ciągle jego umysł potężny, kto jednak spojrzy na ogrom prac pozostałych po nim, przyznać będzie musiał że geniusz i siły jednego człowieka podołać im niemogły. Alfons Karr w dziele Le mercantilisme littéraire i sławny pamflecista Eugeniusz Mirecourt w broszurce Fabrique de romans, maison A. Dumas et Comp. odkrywają tajemnicę wspólnéj fabrykacyi, i wykazują, że liczba współpracowników Dumasa była znaczną. Proces o prawa autorstwa i o niedotrzymanie zobowiązań względem dzienników Presse i Constitutionel w całéj nagości sposób fabrykowania powieści okazały. Chociaż ten rodzaj rzemieślniczy tworzenia kazałby wnosić, że dzieła są odarte z cech talentu, jednakże rzecz się ma inaczéj. W najpośpieszniejszéj z prac jego, w kompilowanych nawet lecz poprawianych przez niego, przebija się zawsze twórczość niepospolita i pewien wdzięk właściwy tylko talentowi Dumasa.

Do powieści, które sławę autorską Dumasa po Europie najwięcéj rozniosły należą: Trzech Muszkieterów, Hrabia de Montechristo, Dwadzieścia lat późniéj, Vice Hrabia de Bragelone. Wszystkie te wymienione są właściwie jedną ogromną powieścią, łączącą się silnem powiązaniem intrygi i powikłaniem akcyi.

Nie tyle wiek, ile okropne wypadki ojczyzny Dumasa wpłynęły przeważnie na śmierć jego. Po kilkotygodniowéj słabości umarł dnia 11. Grudnia 1870 r. w Puy, stolicy

departamentu wyższéj Loary. Pewna dama, obecna pogrzebowi wielkiego pisarza, tak chwilę tę maluje:

„We czwartek 8. Grudnia zaniesono do grobu w wiosce Neuville zwłoki Dumasa. Smutny to był dzień. Nie zapomnę nigdy, jak z dziećmi mojemi wspinałam się po stroméj ścieżce, wśród zawiei śnieżnéj, ażeby wielkiemu pisarzowi ostatnią posługę oddać. Wzrok nasz biegł niekiedy ku morzu, to znów ku gościńcowi od Rouen, gdzie Prusacy wkraczali właśnie. Wrażenie przyrody, groza wojny i ten cichy koniec wielkiego człowieka, napełniały duszę moją tysiącznemi myślami. W prostym kościołku wiejskim, słabo oświetlonym przez okna promieniami słońca, otoczyliśmy kołem trumnę; ja z dziećmi, Dumas syn, kilku członków rodziny nieboszczyka, rybacy, mieszczanie z Dieppe i wiele ludu wiejskiego, zbiegłego tu przed wojną. Na talerzu do składki na ubogich więcéj leżało centymów niż sous. Przyklękliśmy w pośrodku cichego kościołka, płacząc gorzko wszyscy, nie tyle nad śmiercią wielkiego pisarza, jak nad losem nieszczęśliwéj ojczyzny jego. Słońce świeciło jasno, morze leko kołysało się z podmuchem wiatru. Ktoś przemówił w krótkich słowach: „Zamiast akademickich pochwał, ciche szepty rozbitków, żegnają Cię Aleksandrze! Droga Twa wiedzie do Panteonu, lecz zagradzają ją bagnety wrogów!“

II.

Jeden z przyjaciół Dumasa, jakkolwiek Niemiec, używający sławy feletonisty francuzkiego, malowniczy daje w pośmiertnem wspomnieniu obraz codziennego życia i charakteru Dumasa. Szczegóły wydają się nam interesującemi — niewahamy się więc je tu powtórzyć.

„Aleksander Dumas był człowiekiem, którego kochało się od pierwszego spotkania; miał on dar ujęcia sobie ludzi. Wyraz twarzy otwarty, na ustach wiecznie słodki uśmiech i życzliwa uprzejmość, podbijała tych wszystkich, którzy się do niego zbliżyli. Szczęśliwy z życia, rozlewał życie w około siebie. Przystępowano do Wielkiego pisarza z uczuciem uwielbienia, a znalazłszy w nim dobrodusznego towarzysza, wracano z uśmiechem i radością. Ten ton dobroduszny, tę łatwość towarzyską przeniósł Dumas do swych prześlicznych gawęd. Uwielbiano go jako talent, kochano jako człowieka. Serce miał, jak mówią, na dłoni, tak że ściskając rękę zdawało się słyszeć uderzenia jego.

Umysły niższe, widzące w nim tylko błazna cudownie obdarzonogo, przekonają się z czasem, że wielkie imię Dumasa zajmie obszerne miejsce, w dziejach literatury pięknéj. „Dumas poruszył w posadach teatr i powieść“ tak mówi syn jego w jednéj ze znakomitych rozpraw swoich.

Napisanie dzieła z 30 tomów lub nowelli z 50 stronnic równie mu łatwem było. Kiedy raz już otworzył upust imaginacyi swojéj, przeszkód na drodze nie spotykał. Pióro zajęte było piszącem się dziełem — wyobraźnia równocześnie tworzyła nowe. W ten sposób tworzył on sztukę za sztuką, tom za tomem, nieczytając tego nigdy co napisał.

Nie miałem szczęścia znać Dumasa w epoce jego świetności. Kiedy wypadek raz pierwszy zbliżył mię do niego, była to chwila życia promieniami przeszłości. Lecz i wtenczas jeszcze potrzeba tworzenia pozostała w całéj sile, tylko imaginacya zmęczona nadludzką pracą, posłuszeństwo wypowiedziała. I w tych chwilach upadku umiał oczarować jeszcze. Podeszłe lata nie były w stanie zwalczyć potężnego umysłu.

Jeżeli przeczytanie powieści Dumasa, wystarczało by pokochać autora, to zbliżenie się do niego uczuciem uwielbienia przejmowało. Dziś jeszcze pamiętam i wspominam z rozrzewnieniem moją pierwszą wizytę u niego, wówczas kiedy mieszkał w małym hotelu na ulicy Amsterdamskiéj.

Było to w r. 1857. Przybyłem do Paryża; nieznałem nikogo i mnie nikt nieznał. W chwilach samotnych, kiedy myśl zagłębiała się w przyszłość nie nazbyt uśmiechającą się, stawał mi, jakby w marzeniach sennych, Dumas siedzący na tronie i piszący powieści. Pragnąłem go poznać, i w tym celu napisałem do niego, lecz bardzo naturalnie, odpowiedzi nie otrzymałem. Powtarzając ciągle pytania na poczcie i nie odbierając zadawalniającéj odpowiedzi, postanowiłem osobiście zapukać do drzwi wielkiego pisarza. Młodość we wszystko wierzy! Nie potrzebuję mówić, że nie byłem przyjęty. Szedłem po raz pięćdziesiąty i po raz pięćdziesiąty odmowną odpowiedź odbierałem. W dniu, w którym zniecierpliwiony niepowodzeniem postanowiłem wrócić do Niemiec, spotkałem w przedsionku hotelu znajomego, któremu niedawno w pewném towarzystwie przedstawiony byłem. Bez zastanowienia opowiedziałem mu na prędce niefortunne przygody moje, on wysłuchał cierpliwie, i kazawszy mi zaczekać, poszedł na górę. — W kilka minut wraca, mówiąc: „Idź pan! Dumas oczekuje go w swoim pokoju.“

„Dumas oczekuje!“ Czyście słów tych wpływ magiczny zrozumieli? Marzenia senne stają się rzeczywistością! Wypadek ten zaskoczył mię nieprzygotowanego!... Serce biło gwałtownie. Jak skazany na śmierć chwiejnym krokiem wchodzi na stopnie rusztowania, takim krokiem szedłem na wskazane mi pierwsze piętro. Tam... w górze... oczekiwało mię coś nieokreślonego. Mam więc stanąć w obec wielkiego człowieka? Czy nie każe wyrzucić mię za drzwi, kiedy się dowie, że przyszedłem obejrzeć go, jak arkę tryumfalną pól Elizejskich? Kiedy zbliżyłem się do drzwi zebrałem cały zasób sił, ażeby zwalczyć dławiące uczucia i... zapukałem!... „Proszę wejść!“ dał się słyszeć głos silny. Wszedłem i oko w oko spotkałem się z przedmiotem moich marzeń młodzieńczych. Pokój był mały; na szerokim stole leżały porozrzucane papiery, a między niemi przebijały błękitne arkusze, na których zwykle pisywał dzieła swoje. W pobliżu komina stała wanna, a w niéj siedział Dumas. Wyciągnął zmoczoną rękę i rzekł:

„Dzień dobry Panu! Czém mogę służyć? Może pieniędzy potrzebujesz?“

Wszyscy zwykle od tego zaczynają. Tyle razy eksploatowano szlachetność jego, że nie przypuszczał, by go mógł kto szukać w bezinteresownym celu.

„Ależ ja nie przyszedłem z zamiarem pożyczki.“ Zdawało mi się, że odpowiedź zdziwiła Dumasa — spojrzał znacząco i rzekł:

„Tak! tak! to Pan nie potrzebujesz pieniędzy. Cóż więc Pan żądasz odemnie?“

„Nic, prócz szczęścia widzenia i rozmawiania z nim chwil kilku.“

Dumas się uśmiechnął; następnie zapytał zkąd przybywam, a kiedy odpowiedziałem, że z Niemiec począł, nie wychodząc z wanny, mówić o literaturze niemieckiéj, a mianowicie o teatrze Schillera, który go interesował bardzo. W téj epoce miał on zamiar przerobienia Zbójców dla teatru de la Gaieté, chcąc więc mieć dokładne wyobrażenie, oświadczył życzenie widzenia ich na scenie niemieckiéj. Radziłem mu pojechać do Berlina. W tym kierunku rozmowa szła przez kwadrans, poczém chciałem się już oddalić, kiedy on zapytał:

„Co pan robi w Paryżu?“

„Dziś właśnie mam zamiar opuścić Paryż i z powrotem jechać do Niemiec.“

„O nie! tam się pan znudzisz. Proszę zostać w Paryżu. Możesz mi być użytecznym przy tłomaczeniu Zbójców. Czy chcesz być moim sekretarzem?“

„Jakto? Czy chcesz...“

„Będziesz pan miał stół i 300 frs. miesięcznéj pensyi! Czy zgadzasz się na to. Jeżeli potrzebujesz pieniędzy ofiaruję ci z góry pensyą za jeden miesiąc.“

To mówiąc rzucił melancholiczne spojrzenie na kilka ludwików rozrzuconych po stole:

„Przepraszam!“ dodał, „przed końcem tygodnia nie mogę służyć Panu 300 frankami.“

Jeżeli wspominam o tém, to nie dla szukania próżnéj chluby z przyjaznych stosunków, któremi mię od pierwszego poznania, do ostatniéj chwili zaszczycał, ale dla oddania tylko sprawiedliwości cnotom najzacniejszego człowieka, jakiego kiedykolwiek znałem. To co chciał w téj chwili zrobić dla mnie, zrobił już poprzednio dla tysiąca innych, a zawsze z sercem i z tą naiwną i roztrzepaną żywością. Ofiarę robi z 15 luidorów w tenczas, kiedy kieska zaledwie 70 fr. liczy!

(Dokończ. nast.)

Nowy Rok, Trzy Króle, Zapusty,

przez

K. Wł. Wojcickiego.

(Dokończenie.)

Kulig.

Od dnia tego, jak mówiliśmy, zaczynały się ochocze kuligi, które w dawnych zapustach przeważną rolę grały. Za naszych czasów Malczewski w Maryi przypomniał staropolskie kuligi, a Juljusz Słowacki, rozpoczął w Warszawie po powstaniu 29 Listopada 1830, występ swój w świat literacki, dwoma utworami: Hymnem do Boga-Rodzicy, i obszerniejszym poematem Kulig; którego treść tak dobrze odpowiada tamtym czasom:

Oto zapusty! daléj kulikiem!
Każdy wesoły a każdy zbrojny,
Jedzie na wojnę jak gdyby z wojny,
Z szczękiem pałaszy, śmiechem i krzykiem!
Daléj Kulika w przyjaciół chaty
Zbudziemy śpiących, zabierzem z sobą.
Nietrzeba wdziewać balowéj szaty
Ani okrywać czoła żałobą:
Tak jak jesteśmy, daléj i daléj.
A gdzież staniemy? aż nad granicą,
Gwiazdy nam swiecą,
Staniemy cali.
Ha! ha! koń parska, rade nam dwory,
Nie trzaskaj z bicza — niechaj śpi licho,
Szybko po drodze tak jak upiory,
Śmigajmy szybko, cicho, i cicho.
Niech sanki świszczą,
Jak błyskawica,
W okrąg księżyca
Złote mgły koło,
Kagańce błyszczą
Cha! cha! cha! jak nam wesoło!

W pierwszym dworze zastaje poeta gody weselne: a więc pan młody i swaty, daléj na koń do obozu! W drugim, żałoba, syn przy trumnie zmarłego Ojca, — tam na zielonym stoliku szulernia, — tu huczna zabawa i bal kostiumowy; wszystkim rzuca hasło bojowe, i wyprawia na pole walki. —

Ostatni dwór zastaje cichy i pusty. Na sztukanie we drzwi, otwiera i wychodzi stary sługa, a gdy go pyta czy pan zasypia?... Starzec odpowiada:

„— O nie! on nie śpi — pan mój i dzieci,
Nim trzecie grudnia błysnęło zorze,
Wyszli na czele zbrojnéj czeredy,
A teraz cicho, pusto we dworze.
Wyszli na wroga — czy wrócą kiedy?
Widzicie bracia mylą pozory,
Takiemu panu błogosław Boże —
Oby tak wszystkie zastać nam dwory,
Jedźmy więc sami, daléj i daléj!

* * *

Jakże noc pyszna, jak lecą konie,
Lecą i lecą, a zpod kopyta,
Pryskają iskry — połyska błonie,
Śmigają sanki, już świta! świta!
Na niebie blednie czoło księżyca,
Droga skończona — oto granica. —
Wstrzymaj rumaka! wstrzymaj rumaka!
Noc rozwidniała,
Zagrzmiały działa,
Oto jest Kulik Polaka!“

Ten utwór Słowackiego, był ostatnim z pisanych na ziemi ojczystéj; zaraz bowiem po ogłoszeniu go drukiem w Warszawie, wyjechał za granicę, tułał się w obczyznie i tam zakończył życie.

Nazwę Kuliga, wyprowadzają niektórzy badacze od buławy, która na rękojeści swojéj miała kulę. — Taką

obsyłać miano, z drzewa wyrobioną, po osadach od wioski do wioski, od dworu do dworu, gdy potrzeba była zwoływania na obrady, liczniejszych mieszkańców, czy to z Ziemi, czy Powiatu.

Kiedy ten zwyczaj w tym celu ustał i zastąpionym został przez posłańców z wezwaniami na piśmie, buławy takiéj zaczęto używać do oznajmiania, że przy dobréj sannie, ochoczy goście, do tego lub owego dworu zawitają: a cały ten korowód nazwano kuligiem.

Była to zabawa jedna z najpiękniejszych w życiu naszych zacnych ziemian, kiedy pilnując ojcowskiego gniazda, w tym dworze gdzie się rodzili i umierali, podejmowały wesołe kuligi.

Grały one przeważną rolę w owych czasach, jak zasięgamy pamięcią, pierwszych lat naszego stulecia, gdy dla braku komunikacyi — przy bezdrożach, złych drogach a najgorszych mostach, podróż kikunasto milowa, stanowiła w życiu szlachcica wielki wypadek, bo wymagała licznych przygotowań i przyborów. — Ale gdy śnieg wyrównał drogi, mróz grubemi lodami ściął rzeki i brody — i sanna się utorowała: przestrzeń tak przerażająca ziemianina, wiosną, latem i jesienią: zmniejszała się bez porównania, bo przy dobrych koniach, — przesuwano się swobodnie jak po stole dwie i więcéj mil na godzinę. — Po takiéj więc drodze, warto przedsiębrać wycieczki i do dalszych krewniaków i sąsiadów, a korzystając z zapust, przebawić wesoło, za nim skowronek szary wzlatując nad miedzą, nie zawezwie gospodarza do pracy nad rolą!

Starsi wiekiem, chętnie podzielali zabawę kuligu, bo mogli się zobaczyć z drogiemi sercu swemu przyjaciołmi i druhami, nagawędzić się swobodnie o ich doli i niedoli, — dowiedzieć o sprawach narodowych, i naradzić jak postępować daléj dla dobra ojczyzny! Matki z córkami ochoczo w nich brały udział: pierwsze dla tego, że doskonała wydarzałą się sposobność, pozyskania rozgłosu z wdzięków i wychowania starannego — a córkom biły wcześnie serduszka, pewnością, że się wybornie zabawią, wytańczą, i każda znajdzie grono zalotników, o których po rannéj lub wieczornéj modlitwie przed obrazem Boga Rodzicy, w cichéj zadumie marzyły. — Do wybranego przeto dworu, blizscy krewniacy i przyjaciele z rodzinami się zbierali, tu naradę złożywszy, umawiali się, gdzie najprzód wpadną kuligiem. Jeżeli to był dom zamożny, mniéj się tym najazdem gwarnym i licznym troszczyli, ale gdy się wybierano do uboższego ziemianina, wcześnie przesyłano mu w darze zwierzynę, ryby, wędliny, ciasta, mąkę, wina, miody i piwo w beczkach, aby nie zbrakło niczego; a te dary osładzano taką serdeczną prośbą o ich łaskawe przyjęcie, że każdy z rozrzewnieniem i łzą w oku przyjmował.

Kuligowe tymczasem towarzystwo, kończyło co rychléj przybory do podróży, która trwała nie dzień ni dwa, ale całe tygodnie. Kobiety musiały zapas brać z sobą sukien, mężczyzni mniéj w tym wybredni, przygotowywali się zarówno do zabawy, jak do myśliwskiéj rozrywki, bo to czas dobry do łowów, po ponowie, kiedy z grubego zwierza łatwo na śniegu wyśledzić tropy. Broń téż pod ręką była potrzebna, dla obrony przed gromadami wilków, które co raz więcéj nabierały zuchwałości, gdy głód im dojmował, — a broń zdała się także i przeciw bandom łotrów, co nieraz całym okolicom groziły.



Aleksander Dumas.

(Rytowano w drzeworytni Sobótki.)

Na parę godzin przed wyruszeniem całego kuligu, wyjeżdżał naprzód jeden z młodzieży przebrany za arlekina, sankami w rącze konie; i ten do wskazanego dworu, który wybrano na pierwszy kulig, wpadał niespodzianie, a skacząc po komnatach i przewracając stołki, bijąc z lekka trzepaczką drewnianą każdego spotkanego, wołał donośnym głosem kulig! kulig!

Dwór cały z radosnym śmiechem i okrzykiem wtórował mu, wszyscy się żwawo krzątali, ażeby przygotować należycie wszystko na przyjęcie gościnne. Na kuchni buzował się wielki ogień, wszystkie pokoje oświecono rzęsiście świecami jarzęcemi, gospodarstwo z rodziną przybierało odświętne ubrania i za nim usłyszano kuligowe dzwonki i kapelę, która przodem jadąc, już cięła hucznego marsza, — we dworze był ordynek należyty. — Orszak kuligowy witał państwa, ich dzieci, krewnych i domowników zebranych, poczém obchodził kołem salę, czy izbę jadalną największą; a gdy ogrzano się z zimna, po przekąsce, zaraz rozpoczynała młodzież ochocze tańce, — a starsi w oddzielnéj komnacie, przy kieliszku wytrawnego węgrzyna, ulubioną gawędkę.

Teraz bawiono się radośnie dni parę lub więcéj: następnie dalsze miejsce przeznaczono na zjazd kuligowy, zabierając

z sobą gościnnych gospodarzy. Tak więc jak lawina śnieżna, orszak kuliga coraz się zwiększał i gdy pierwszy miał sześć lub dziesięć sani, ostatni ich kilkadziesiąt liczył.

Kiedy młodzież sercowe załatwiała pragnienia, sędziwe grono obywateli, godziło sąsiedzkie spory i zawiści: Zagrzewani tu w ciepłéj atmosferze miłości i braterstwa, podawali sobie rękę do zgody: tu obmyślano opiekę dla sierót, pomoc wdowie podupadłéj lub zapomogę dla zniszczonego pożarem, gradobiciem, albo jaką niedolą, zacnego ziemianina. Bo dawna szlachta polska, dobra jak to mówiono: „do wybitki i napitki“ złote miała serca i cokolwiek do zacnego uczucia przemawiało, żywo najszlachetniejsze jego struny poruszało.

Ale czas opuścić gościnne progi: śnieg lepiéj przyprószył, mróz lepszy nacisnął, więc daléj w drogę! jak mówi Malczeski:

My sobie jedziem kuligiem,
I w noc i we dnie,
Wesoło, szalono, przednie.
Szczera ochota,
Otwiera wrota.
Lecim saniami,
I jadą z nami,
Wrzawa śmiech pusty.
Czy znasz ty Polskie zapusty?

Wielki poeta razem z nami, patrzał na podobne ochocze kuligi: dziś już one należą tylko do wspomnień rzewnych, pięknéj i czarującéj przeszłości naszéj!

* * *

W pośrodku zapustu i wrzawy kuligowéj, przypada drugiego Lutego podwójna religijna uroczystość: Oczyszczenie Najświętszéj Maryi Panny i ofiarowanie Jezusa w kościele. Prawo Mojżesza nakazywało po urodzeniu dziecięcia płci męzkiéj, dnia czternastego stawić się w kościele i dla oczyszczenia swego złozyć na ofiarę Bogu jagnię, a jeżeli była biedną, parę gołębiąt lub synogarlic. Marya przez pokorę spełniła to prawo; pamiątkę tę kościół nasz obchodzi. Grecy nazywają tę uroczystość Spotkaniem Jezusa Chrystusa, dla tego, że gdy Marya z Józefem wnosili Chrystusa do świątyni, spotkali go Symeon starzec i Anna wdowa i głośno go za Mesyasza uznali. W dniu tym poświęcają się świece i po zapaleniu ich odbywa się procesya w kościołach. Lud uroczystość drugiego Lutego, nazywa: N. Maryi gromnicznéj, a świece same poświęcone gromnicami. Nazwa ta powstała z tego powodu, że w czasie wielkiéj burzy i bicia gromów czyli piorunów, pobożni zapalają je, ufni, iż ocaleni zostaną od pożaru ognia niebieskiego i nagłéj śmierci.

W staropolskich rodzinach gdzie się przechował dawny obyczaj, młode małżeństwo od pobrania się, każdego roku poświęconą zachowuje gromnicę. Ich liczba zwiastuje lata pożycia.

Powszechnym jest u nas zwyczajem dawanie w rękę konającemu zapaloną gromnicę. W téj smutnéj chwili, łoże jego otacza cała rodzina, wznosząc modły gorące za umarłych. I nieraz się zdarzało że towarzysz wesołego kuligu, w kwiecie wieku kończąc życie, drżącą i osłabioną ręką chwytał ową gromnicę, zapowiadającą koniec krótkiéj wędrówki po biednéj ziemi, jakby sprawdzając słowa Kazimierza Brodzińskiego:

Tak ludzie przeciągając za ojców koleją,
I kolebki i trumny niosą za nadzieją,
Dziś różą, dziś cyprysem uwieńczeni smutnie,
Tu biją w dzwon pogrobny, tam w weselne lutnie!

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Ogród przy folwarku gwoli gospodarskiéj wygodzie zasadzony, ładny wcale nie był. Zajmował spory kawał pola na płaszczyznie, ogrodzonego szczelnie i zasadzonego w kwadraty owocowemi drzewami. Już za czasów gospodarstwa pana Ostójskiego, przybył tu szpaler leszczynowy, altana i kilka drzew… Z jednéj strony cień dawała ulica przypierająca do płotu, obsadzona staremi topolami nadwiślańskiemi. W jednym kątku status in statu, był ogródek wydzielony dla Zosi, opasany misternym płotkiem z brzeziny, z furtką starannie wyciosaną… tu rosły jéj ulubione kwiatki, tu niegdyś gospodarowali razem i kłócili się z panem Julianem i kochali potém i wiekuistą poprzysięgali sobie miłość… Maleńki ten kątek z ławeczką, z altanką, bzami i winem obsadzoną, ze stoliczkiem w niéj… pachnący, cały rozkwitły, choć ciasnemi opasany ścianami wcale był ładny… Gdy po obiedzie otworzono drzwi szklanne jadalnego pokoju na ogród, Zosia wskazała ręką ścieżkę wiodącą do swojego gosgodarstwa.

„Radabym się panu Julianowi pochwalić“, rzekła, „jak ja teraz rozumna jestem i praktyczna. Pamiętasz pan, dawniéj ginęłam za różyczkami, liliami, bratkami, za malowanemi altankami, które się śmieją i pachną tylko — a teraz!! Ciocia powie panu, że przeczuwam przeznaczenie gospodyni domu i poważnym oddaję się studyom… Znajdziesz pan z podziwieniem zagon przepysznych truskawek sprowadzonych z Erfurtu, maliny Maltańskie ogromne (ale nasze są słodsze!)… nawet jakiś oryginalny kartofel z poszanowaniem wypielęgnowany, aby mógł być ojcem licznéj familii… Widzi pan…“

Zosia się śmiała, radaby była pod oczyma rodziny,

a jednak sam na sam przejść się z nim choćby po wielkiéj ulicy głównéj, która jako piaskiem wysypana, już była suchą — ale Julian się nie domyślał... Cierpliwa Zosia powiedziała sobie: będzie tu przecież drugim razem — nie trzeba się zbytnio nabijać.

Od strony téj domu widać było daleko równinę ku pałacowi rozciągającą się i szeroką aleję topolową wiodącą ku niemu, i cienisty park, na którego ciemnéj zieleni pałac wspaniale się malował ze swą kopułą blachą obitą i dwoma nad oficynami niby bastionowanemi przyczółkami. Z téj strony opasywał dwór obwodowy mur z chatką dla szwajcara... przy monumentalnéj bramie. Na dwóch jéj kamiennych słupach stały dwa lwy jeszcze z saskich czasów. Lwy to były może heraldyczne, może poetyczne, ale do żywych mało mające podobieństwa. Właśnie się oczy towarzystwa skierowały ku gościńcowi, gdy z bramy wysunęła się amerykanka parą koni ładnych zaprzężona... Siedział w niéj mężczyzna... Pan Ostójski postrzegłszy go ruszył ramionami.

„Zejdźmy czy co“, szepnął, „to Margocki, a jak nas zobaczy... gotów wstąpić... e! to nudziarz...“

Amerykanka puszczona klusem wyciągniętym parła tak szybko, że nim się namyślono skryć do domu, już było za późno. Siedzący w niéj mężczyzna średnich lat, ale wybornie udający młodego, ukłonił się żywo Ostójskiemu i zawołał z zapłotu:

„Wstąpię na chwilkę!“

Zosia się zarumieniła ustępując do pokoju, Ostójski skwaśniał, machnął ręką i mruknął:

„Niechże go z tą jego grzecznością... siostro Klaro, zmiłuj się, kawy czarnéj i jakiego likworu czy co?“

I poszedł na drugi ganek przyjmować gościa nieproszonego, który się już w sieniach bardzo głośnym śmiechem i przerywanem mówieniem zwiastował.

Ciocia Klara poważnie, z godnością osoby, która się szanować umie, skierowała się ku drzwiom wewnątrz prowadzącym, Kanonik siadł przy siostrze, w kątku, Juliana pociągnęła Zosia ku fortepianowi.

„Lubisz pan jeszcze muzykę?“ spytała.

„Zapomniałem jéj — ale słucham wiele, bo w Niemczech... to pokarm powszedni...“

Ledwie rozpoczęli, a tuż w toczył się Margocki.

Jest to własnością rzeczy naśladowanych, że jeźli oryginału nie karykaterują, wybitniejszemi czynią główne jego cechy. Margocki był kopią arystokratycznego gentelmana, uderzającą charakterystyką pańską. Nie można było powiedzieć by ta kopia była chybioną... owszem artystycznie nawet pojęta i do pewnego stopnia oryginalna, miała wdzięk i mimo to oko znawcy rozpoznawało w niéj, że było powtórzoném dziełem ucznia nie mistrza.

Na prawdziwego wielkiego pana, jego wady i przymioty, jego szlachetną piekność i miękką elegancyą, na to comme il faut nie dające się określić, składa się krew, wychowanie, spadek wieków, wpływ otoczenia, tysiące nieochwyconych emanacyi ludzi, świata i przedmiotów... jest on naturalnym owocem i wypadkiem tych sił koniecznym; — naśladowany pan i arystokrata, który może być w duszy czémś jak najmniéj do niego podobnym, ubiera się w cudzą suknię i gra gorzéj lub lepiéj rolę pożyczoną. Margocki grał ją doskonale, przyczyniała się do tego i długa wprawa. Dla oka mniéj bacznego mógł uchodzić za potomka wielkiéj rodziny... Mężczyzna był pięknego wzrostu, postawy udatnéj, twarzy rysów dosyć czystych, wyrazu roztropnego i pojętnego... Na czole, około oczów, przy ustach znużenie i wiek zaczynały już rysować znamiona i drogi którędy starość przyjść miała, ale ogólny ton i koloryt twarzy był jeszcze świeży i młody. Margocki miał lat pięćdziesiąt, nie wydawał się wszakże starszym nad trzydzieści kilka. Niezmiernie grzecznie wszedłszy powitał Zosię, która mu z daleka dygnęła, skłonił się na prędce unikając zbliżenia, Kononikowi i jego siostrze, niedowierzająco spojrzał na Juliana, i począł trzymając ciągle kapelusik miękki pod pachą, a spinając rękawiczki rozmawiać z gospodarzem.

„Pani hrabina wedle wszelkiego podobieństwa, przyjeżdża dziś... jadę na spotkanie do pierwszéj stacyi, dokąd już poszły ekwipaże i służba... Szanowny panie Ostójski... jeśli by w pałacu co potrzebowano, bośmy nie bardzo przygotowani na przyjęcie — pomóż że nam, proszę...“

Ostójski się skłonił „z największą chęcią — jutro na rozkazy...“

Odwrócił się do Kanonika.

„Jegomość dobrodziéj przyszle nam jutro z ranną mszą ks. Wikarego, to się kollatorce należy...“

„O któréj?“ spytał Kanonik.

„Ks. Wikary już godzinę będzie wiedział... dla mnie“ dodał Margocki, „przyjazd ten i spodziewany pobyt pani hrabiny, jest największém szczęściem, bom się okropnie wynudził, sam siedząc w tym pustym pałacu. — Często mnie brała wielka chętka korzystać z sąsiedztwa domu pańskiego, alem się obawiał naprzykrzać.“

Ostójski nieumiał nic lepszego powiedzieć nad:

„Mój mości dobrodzieju! ale tego... ale tego... bardzo proszę... cóż znowu...“

Weszła ciocia Klara, a za nią wyrostek wniósł kawę i likier.

„Pozwoli pan dobrodziéj... kawki czarnéj i kieliszeczek likworku?“ spytał Ostójski, biorąc sam tacę.

Margocki należący do pierwszorzędnych smakoszów, będący wyrocznią w rzeczach jadła i napoju, z obawą spojrzał na kawę i butelkę, którą posądzał o krajowe pochodzenie. Dopiero zobaczywszy znaną etykietkę, uspokoił się i przyjął ofiarę.

Panna Klara rączką w obciętą rękawiczkę bez palców przystrojoną, któréj piąty palec dramatycznie się nad innemi unosił, nalała z wielkim wdziękiem nektaru Mokki i przysunęła go Margockiemu... Ostójski tymczasem płyn piernikowego koloru cedził do kieliszka... szepcąc chłopcu aby ich więcéj przyniósł.

Z filiżanką w ręku plenipotent podszedł do Zosi, któréj minka zdradzała jakieś nieukontentowanie.

„Pani zawsze wiele się zajmuje muzyką?“ zapytał.

„Dosyć!“ szepnęła zimno Zosia.

„Jakiż jest pani ulubiony kompozytor? Czy pani Wagnerzystka? czy Szumanistka? czy Szopenistka? czy...“

„Ja panie? jestem... w muzyce... bez szczególnych i wyłącznych upodobań... biorę wszystko co mi się wydaje pięknem."

„Ale któż najlepiéj przemawia do serca pani?"

Zosia spojrzała mu śmiało w oczy.

„Śpiew kościelny i piosnka pastusza..."

„A! a! więc i Chopin?"

„Często..."

„Pani wie zapewne", dorzucił Margocki, „że nasza hrabina była niegdyś znakomitą virtuozką, lubi muzykę niezmiernie, pasyami i dziś jeszcze mimo swych pięćdziesięciu... do których się nie przyznaje, par paranthese, gra jeszcze bardzo ładnie. To jéj najulubieńsza rozrywka... a że tu niema z kim grać na cztéry ręce — co jest jéj wielką rozrywką — bardzo by pewnie była rada... gdyby pani..."

„A! ja wcale nie grywam na cztéry ręce!" pospiesznie przestraszona zawołała Zosia.

Margocki się roześmiał.

„Ce n'est que le premièr pas qui coute", rzekł, „znajomość z hrabiną, pewnie by była miłą... i niepodobna by ona pani, pani jéj nie oceniła. Jest to znakomita ze wszech miar osoba... sławna z dobroci, dowcipu, talentów we wszystkich europejskich stolicach. Elle a été très goutée par l'imperatrice Eugénie."

„Ale, zmiłuj się pan, ja jestem prostą sobie wieśniaczką", zawołała Zosia.

„Godna najświetniejszych salonów..." rzekł żywo Margocki i skłonił się. „Ja już z góry spisek na panią uknułem: je n'en demordrai pas."

Skłonił się i odstąpił aby Zosi nie dać czasu się bronić.

Ostójski, który część rozmowy pochwycił, posmutniał — ale się mięszać nie chciał... podsunął likier, Margocki spojrzał na zegarek.

„Il etait temps!" krzyknął przerażony, „muszę lecieć, bo nuż hrabina nadjedzie." I prędko pochwyciwszy kapelusz, obdzielił ukłonem wszystkich, wysunął się, znikł. Amerykanka zahuczała, pojechał. Odetchnęli wszyscy. Ostójski tylko był chmurny, a Zosia gniewna.

„Otóż to mosanie, masz tobie łaskę pańską", zawołał gładząc łysinę, „ani się będzie można wykręcić teraz od muzyki, stosunków, salonowania... a ten mój koziołek Zosia."

„E! tatku! koziołek się nie da!" przerwała córka.

„Ale to ci dobrze tak mówić, nieda się, nieda! na to niema sposobu", mówił ojciec. „Chcesz żeby mnie za ciebie szykanowano i prześladowano, żeby mnie gniewem swym ścigał na każdym kroku wszechmogący Margocki... bo on wszechmogący tutaj! to darmo! I hrabiego ma w kieszeni i hrabinę też... i hrabiątko, a tu odnowienie kontraktu za pasem. Odmówiłaż byś ojcu pomocy? a nie chciała mu oszczędzić przykrości?

Zosia od fortepianu przybiegła i rzuciła mu się na szyję.

„No, nie mówmy o tém, ponudzę się dla ciebie... Zresztą tatko niech to na mnie spuści... a ja sobie dam radę."

Julian spojrzał na zakłopotane dziewczę i żal mu się może zrobiło, bo rzekł:

„Niema to nic tak strasznego to towarzystwo pańskie — trochę się należy przyzwyczaić a niezbyt się o jego łaski troszczyć! o! pannie Zofii to przyjdzie łatwo z jéj trafnym instynktem i..."

Zosia spojrzała.

„Komplement", rzekła załamując ręce komicznie, „a kiedy też już pan Julian mnie, mnie! mnie! śmie prawić komplementa! — to znak ostatecznego rozbratu... pan, mnie."

„Ale to nie jest komplement!"

„A cóż to jest?" spytała Zosia.

„Nie" potrząsając głową odpowiedziało dziewczę, „nie. Stary mój przyjaciel pan Julian inaczéj by mi to był powiedział..."

Obwiniony zamilkł. Matka spojrzała na syna z pewném smutném zdziwieniem...

Rozmowa rozbita, chwytana z kolei przez wszystkich przytomnych i rzucana... zakończona została sentencyonalnie przez pannę Klarę.

„Gdyby mnie o zdanie pytano" odezwała się, „wyraziłabym ją z właściwą mnie otwartością... Dla osoby w kwiecie wieku jak luba Zosia... cóż może być pożądańszem nad dobre towarzystwo? W niem się nabiera téj woni i tonu który całemu życiu urok daje. Przyklasnęłabym z serca gdyby w pałacu bywała, mówię otwarcie."

Ostójski mruknął.

„Niech ich z tonem i wonią..." Niedokończył... Goście się zaczęli żegnać...

(C. d. n.)

STARY MYŚLIWIEC.

Co tam! co tam, mnie staremu
Pleść koszałki, pleść opałki!
Eh! ja strzelam po dawnemu
Nie z pistonów ale z skałki.

A czy kulą, czy lotkami
To tam dla mnie wszystko jedno!
Przed dzikami, niedźwiedziami
Lica moje nie pobledną.

Ha mospanie! spytaj no się,
Wiele żubrów w Białowieży,
Wiele wilków w Kampinosie
Z méj rusznicy trupem leży?

Ale co wam prawić o tém!
Dzisiaj młodzież wasza taka,
Że bez jadła pod namiotem
Nie wyruszy na szaraka.

Za mych czasów mościpanie!
Bigos w torbę, gdańskiéj flaszka,
A tam słota, niewyspanie,
Mróz, zawieja, wszystko fraszka!

A to dzisiaj wielkie łowy
Chowanego zbić rogacza,
Albo w dzień Bartłomiejowy
Marcowego uszczuć gracza!

Strasznie długie polowanie
Od dziesiątéj do południa!
Po tém siędą na śniadanie
I szampana pęka studnia.

Zadyszani i snem zdjęci
Leżą kołem na murawie,
Pomęczeni i z nóg ścięci,
Jakby z Bartkiem po rozprawie.

O Rejtanie mój kochanku!
Co cię znają Naliboki
Z łowów każdy brat w zaścianku
Od Korony het za Troki!

Gdybyś spojrzał z pod mogiły
Na ten zbytków szereg długi,
Ach! czy miałbyś tyle siły
By nie skonać po raz drugi?!

K. Brzozowski.

Historya o dwóch parach zakochanych i o połowie trzeciéj

podsłuchana i spisana przez

Józefa Narzymskiego i Władysława Sabowskiego.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Postępując taką drogą przez pustynię życia, Stanisław Kliński mógł nigdy nie dojść do oazy miłości, aktem kościelnym i cywilnym ubłogosławionéj i uprawnionéj, lecz zatrzymać się na podeszłe lata w niedogodnym, pozbawionym wszelakiego komfortu, karawanseraju staro-kawalerstwa.

Tę groźną przyszłość zaczynały mu już zwolna zapowiadać rozmaite zatrważające symptomy.

Przedewszystkiem ukończył już trzydziestkę. Stało się to bardzo niedawno wprawdzie, ale się stało, zaprzeczyć tego niepodobna. Otóż statystyka powiada, że kto się żeni w drugiéj połowie trzeciego krzyżyka, ten przysparza sobie, średnio biorąc, jedenaście lat życia, ale kto się z ożenieniem opóźni, ten już niema takich korzyści, a nawet bardzo opóźnieni narażają się prawdopodobnie na dość znaczne straty. Kto się więc wyrzekł w bardzo znacznéj części tak znakomitéj korzyści, tego bardzo można posądzać, że się i reszty wyrzeknie.

Powtóre pan Stanisław zaczął lubić książki i gazety, zaczynał znajdować jakieś powaby w literaturze i polityce. Zaprenumerował sobie wszystkie pisma wychodzące w Wielkopolsce (na co się naturalnie nie zrujnował) a potém tak się w tém rozsmakował, że się nawet na parę dzienników galicyjskich i na jeden warszawski zapisał.

Otóż statystyka i tutaj znowu wtrąca swoje trzy grosze i powiada, że młodzieniec, który się w polityce rozlubuje i losami Europy jak swojemi interesować zacznie, częściéj daleko zostaje mężem stanu, niż mężem i dozgonnym opiekunem siedemnastoletniéj dziewicy.

Po trzecie... i to podobno było najgroźniejszym symptomem. Stanisław doznając zwykłych samotności kawalerskiéj nudów, przypomniał sobie, że jeden z pokoi Klinowieckiego dworu zastawiony był zbiorem najrozmaitszych starożytności, wykopalisk, odłamów, szczątków, figurek, posążków, skorup, czerepów i tym podobnych rupieci, które mu pozostały w spadku po ś. p. jego ojcu, zapalonym takich rzeczy miłośniku, a do których od śmierci tegoż ś. p. rodzica ani razu jeszcze nie zajrzał i żadnéj nie przywiązywał wartości.

Winnym tego przypomnienia był korespondent pracujący z Pleszewskiego do Dziennika Poznańskiego i oznaczający swoje artykuły jakąś grecką literą. Korespondent ten, zapewne w braku innego materyału, doniósł całemu światu że na gruntach Małéj Woli w dobrach p. A. S. przy rozkopywaniu kopców znaleziono w ziemi rozmaite pamiątki prawiecznéj przeszłości, dziwnie ciekawe dla ludzi zajmujących się archeologią w ogóle lub szczególnemi jéj działami, nie wyłączając numizmatyki.

Przed ukończeniem trzydziestego roku życia Kliński ani by był zwrócił uwagi na tę wiadomość. Teraz przypomniał sobie, że go los uczynił posiadaczem bardzo cennego zbioru prawiecznych pamiątek, i że gdy go w spadku otrzymał, winien go w spuściźnie po sobie pozostawić uzupełnionym i zbogaconym, o ile podobna. Ztąd wywnioskował, że jest to prawie jego obowiązkiem obywatelskim pojechać w Pleszewskie i nabyć do swego zbioru, co nabyć będzie można i co nabyć będzie potrzeba.

Byłby wyjechał zaraz na drugi dzień, ale znowu niepodobna się było ruszyć w podróż na zakup zabytków archeologicznych, bez obznajmienia się przynajmniéj pobieżnego ze zbiorem, którego był właścicielem.

„Mógłbym najcenniejsze rzeczy pominąć, a nakupować sobie duplikatów“, pomyślał.

Zabrał się tedy do studjowania swojego zbioru, a skoro się dowiedział, że te czerepy gliniane, te pordzewiałe kawałki odwiecznego żelaza, bronzu, te ponadtłukiwane i niepozorne szklanne naczynia, te pieniążki z niewyraźnym i źle narysowanym stemplem, są jakby karbami księgi dziejów z których specyaliści czytają jak z drukowanego co to było na świecie przed wiekami, wydało mu się to nauką w cale ciekawą i zajmującą. Lada kawałek starożytnego garnka nabierał w jego oczach wyższéj ceny od całych garnków nowożytnych, zaczął się tem bawić, zaczął to klasyfikować, gromadnić dzieła objaśniające i wiadomości o innych zbiorach.

Było to jedną z najmniéj zawodnych wskazówek, że naszego bohatera oczekuje starokawalerstwo, frenologia bowiem powiada, że ludzie, w których się rozwijać zacznie umysł posiadania, zwany aquisital, i będący źródłem skłonności do zakładania zbiorów zabytków archeologicznych, doznają odpowiedniego zmniejszenia zmysłu miłości małżeńskiéj.

Tych wszystkich uwag, które my tu robimy, nie robili sobie naturalnie ojcowie ani matki, a przedewszystkiem nie mogły sobie robić panienki, jako w ogóle bardzo mało zajmujące się statystyką i frenelogią, a zatém nie mogące mieć dokładnego wyobrażenia o zgubnym wpływie polityki, literatury i zamiłowania w archeologii na matrymonjalne usposobienie młodych ludzi.

Ażeby przez kilka tygodni, których Stanisław potrzebował do pobieżnego przynajmniéj obznajmienia się z archeologią, zabytki wykopane w kopcach Małéj Woli nie porozbiegały się w świat, bohater nasz uprosił jednego z swoich znajomych aby zajrzał do państwa Sydońskich i oznajmił im nawiasowo jego przyjazd, zachęcając do niepozbywania się nagromadzonych szczątków przeszłości, które zamożny posiadacz większego zbioru takich pamiątek może w całości zakupi.

Pośrednikiem, któremu Kliński powierzył tę misyę, był człowiek stary i praktyczny, a dobrze życzący naszemu bohaterowi. Zdawało mu się tedy, że powiedzieć wprost i otwarcie, iż Stanisław ma zamiar nabyć wykopaliska Małowolskie, byłoby to zupełnie popsuć targ Stanisławowi. Zabrał się tedy do wykonania swego posłannictwa oględnie i dyplomatycznie. Zjechał do Sydońskich, obejrzał kopce i znalezione ciekawości, tak jakby się niemi sam tylko interesował, a o tém że był proszony o oglądanie ani jednem słówkiem nie wspomniał.

Obejrzawszy wszystko rzekł do pana Aurelego:

„Taki zbiór mógłby mieć jakąś wartość, ale tylko w całości... na pojedyncze sztuki to ani warto sprzedawać... tylko ktoś, co już posiada dosyć takich zabytków, mógłby to nabyć dla uzupełnienia — cząstkowo marnować nie warto. Ja znam kilku posiadaczy podobnych zbiorów, mógłbym szepnąć któremu, a sam przyznasz, panie Aureli, jak by to było pięknie, gdyby twoje starożytności weszły do obszerniejszego muzeum i stanowiły w niem oddział osobny, noszący twoje nazwisko.“

Sydońskiemu nadzwyczaj spodobała się ta propozycya, uraczył dobrem winem pośrednika, ucałował jego policzki niezliczoną liczbą par razy, przemocą prawie zatrzymał go na preferansie i w czterech partiach z rzędu przegrał do niego około czternastu talarów, nie w intencyi przegrania przecież, ale tak po prostu ze zwyczaju.

Pośrednik odjechał, pan Aureli oznajmił żonie wielką nowinę.

„Przyjedzie tutaj, duszko... zgadni kto?“

„Dajże mi pokój Relciu z zagadkami, powiedz otwarcie... niezawodnie jaki młody człowiek, co się prędzéj decyduje jak ci Cichowscy.“

„O! on się zdecyduje bardzo prędko...“

„A na którą?...“

„Jak to na którą?... na wszystkie...“

„Co ci się dzieje mój Aureli?... o czém ty gadasz?... mamy ich przecież tylko dwie, a obu razem wziąść nie można, koniecznie jednę wybrać trzeba...“

„Jakie znów dwie?... jaka jedna?... o czém ty gadasz duszko?...“

„O Halince i Julci, naturalnie...“

„Ba! ja mówiłem o moich starożytnościach... przyjedzie tu archeolog, bogaty archeolog, który cały mój zbiór zakupi i włączy do swojego muzeum, bo on ma całe muzeum, jak cię kocham, duszko, całe muzeum.“

Pani Sydońska westchnęła. Na jéj macierzyńskiéj głowie ciążyła jedna tylko troska, troska pozbycia się dwojga dziewcząt, żeby przypadkiem nie zostały... starożytnościami. Starożytności znalezione w kopcach nie obchodziły ją bynajmniéj, zwłaszcza że przez dłuższe pozostawanie w domu stracić na wartości nie mogły. Z politowaniem spojrzała na małżonka, że się mógł podobnemi rzeczami zaprzątnąć, i wzruszając ramionami zagadnęła:

„Czy on jeszcze młody, ten twój bogaty archeolog... czy żonaty?... nie pytałeś się?...“

„Jakże się miałem pytać?... niby to wiek albo małżeństwo jest w jakim związku z posiadaniem muzeum archeologicznego...“

„A pytałeś się czy w preferensa gra?...“

„No, to się rozumie, ja się o to zawsze pytam...“

„Czy preferans ma jaki związek z archeologią?...“

Pan Aureli nie umiał odpowiedzieć.

„Widzisz jaka twoja logika... nie ma nic dla ciebie na świecie tylko siedm bez atu, trzeci walet i król syngielton... jak sobie ojciec takiemi rzeczami głowę zapcha, to nic dziwnego, że córki więdnieją.“

To powiedziawszy nadąsana pani Sydońska odeszła, pozostawiając małżonka w zadumie.

Zaduma ta nie trwała długo. Pan Sydoński postał przez chwilę na środku pokoju, pomyślał, pokiwał głową, potém machnął ręką i rzekł:

„At gada!...“

(C. d. n.)

GAWĘDY Z MIASTA.

II.

Drogi Władziu!

Nie rób sobie, mój kochanku, iluzyi, przypuszczając, że moje gawędy pisane będą na seryo. Przeciwnie, bądź naprzód przygotowany na to, że strona poważna starannie będzie wykluczona z moich sprawozdań. „Mourir mais rire“ — jest moją dewizą, którą oddawna przejąłem od jednego oryginała Serba. Śmiać się zawsze, śmiać się ze wszystkiego — gdy świat cały płacze i gdy wszystko naokół tchnie tragedyą, otóż moja zasada. Więc śmiej się wraz zemną, mój Władziu, i choć w sercu gorycz, choć w piersi wre rozpacz, stłumiaj wezbrane uczucia, ubieraj twarz w wesołość — choć bieda, to hoc!

* * *

Nasze miasteczko robiło mi zawsze wrażenie zużytego życiem i zbankrutowanego szlachcica, który tylko chwilami budzi się z letargu i, nasunąwszy czapkę na bakier, brzęcząc karabelą, wychodzi na arenę publiczną. Takiemi chwilami ocknięcia się ze snu Poznania to Śto-Jańskie kontrakty i karnawał... Od lat kilku niestety, gdy rok 1863. wyssał najzdrowsze soki nasze, Poznań nie ożywia się już nawet w czasie wełnianego jarmarku, na który i szlachetny Witzke z Berlina poprzestał z rachunkami zjeżdżać. Ale gdy mróz zetnie modre piersi Warty, zdarza się zwykle, że jak do Mekki ciągną do wielkopolskiéj stolicy zamożne i mniéj zamożne rodziny szlachty wiejskiéj, na pustych ulicach Poznania warczą szybkim pędem świetne karety i kocze, snują się na krużgankach hotelów różnobarwne liberye, po kamiennych chodnikach szeleszczą jedwabne ogony naszych uroczych wielkopolskich bogiń, strzelają u Kurnatowskiego korki od szampana a z bazarowéj sali lub „z pod Gwiazdy“ przynosi echo śród ciszy nocnéj dźwięki dziarskich mazurów lub skocznych polek...

Tegoroczny sezon zimowy, jakkolwiek liczne żałoby przeszkadzają tańcom, pomyślniéj niż w inne lata rozpoczął się dla Poznania. Już początek Listopada przywiódł w mury naszego miasta kilka domów polskich, znanych z gościnnego przyjęcia, wieczornych wistów i przyjacielskich kolacyjek w gronie dam. Pierwsze dni Stycznia powiększyły jeszcze ten zastęp towarzystwa „z prowincyi“.

Więc jeśli szukasz wspaniałych salonów, pełnych wdzięku gospodyń, uprzejmych gospodarzy i miluchnych lekarzy, udaj się na ulicę Berlińską. Tu znajdziesz i rozkwitające krasą dziewice, i bogate posagi; usłyszysz nieraz przecudne Scherza Szopena, wspaniałe Tarantele Liszta lub melodyjne Arditiego walce, obok uroczego szczebiotania językiem Albionu... Lecz spiesz się, niebogi, jeśliś kawalerem, co za piękną i — posażną gonisz żoną, bo z tych cudnych Rusa-łek, już jedna podobno na wpół porwana przez młodziana z oddalonéj puszczy, a po drugie, jak wieść niesie, nadbiegną wkrótce chciwe zdobyczy Parysy z nad brzegów Świtezi i step ukraińskich, korzystając z zajęć wojennych naszego wielkopolskiego rycerstwa...

Jeśli zaś pragniesz podnieść umysł poważną lub pobożną rozmową, mieć zaszczyt zbliżenia się do naszych świeckich i duchownych dygnitarzy, utonąć w morzu ksiąg nagromadzonych z najtroskliwszą starannością, lub orzeźwić się poezyą i ukołysać smętną piosenką, zwróć o przybyszu, twe kroki ku Młyńskiéj ulicy. Tam uderzą cię postacie, przypominające Malczewskiego „Miecznika“, lub twarze zimne i na pozór zgryźliwe, po za któremi przecież prawdziwie szlachetne kryją się uczucia, i typy prawdziwie polskich niewiast, zawsze gotowych do ofiar, do niesienia ulgi każdemu cierpieniu, łączących rozum z słodyczą...

Gdy ci pieniędzy zabraknie, biegnij do biblioteki Raczyńskich przy Wilhelmowskim placu... Ale biada ci, jeśli nie masz z sobą, jako paszportu, podpisu „na poprzek“ choćby jakiego kuzynka jednego z naszych Nabobów... Natomiast możesz każdéj chwili najkorzystniéj sprzedać zboże i papiery — za małym procentem — oraz zakupić akcyą na fundusz budowy narodowego teatru „Imienia Potockiego“ w młodym zakładzie bankowym przy ulicy Nowéj, rozumie się, jeśliś persona grata u czcigodnego męża, co mu przewodniczy.

Piękne wdowy, literatki i literaci, artyści i artystki upodobały sobie przeważnie św. Marcin. Tu staropolska czeka cię zawsze gościnność a nawet przy niezwykłych okazyach kielich wiekowego „Podkomorzego“, godnego rywalizacyi z słynnym na całe Księstwo „Kasztelanem“. Tu téż znalazłem kiedyś pod cieniem posągu nieśmiertelnego Adama złotowłosą, modrooką dziewczynkę, istny model do portretu Zosi z „Pana Tadeusza...“ Ale milczmy dziś o tém uroczém zjawisku... i przerwijmy dalszą po „grodzie Przemysława“ wędrówkę... Gdzieindziéj zaprowadzę Cię teraz, mój Władziu. Posłuchaj.

* * *

Byłem tych dni „na Kółku“ w Bazarze. Minąwszy pierwszy pokój, gdzie historyczni mężowie przy kilku stolikach grali w preferansa, i salę bilardową, gdzie mistrz partyi „z Karoliną“ zrobiwszy giest charakterystyczny nad oczyma, rozmyśliwał nad wykonaniem wspaniałéj „dubli“, wszedłem do czytelni, by z należytym spokojem uraczyć się ostatnią kroniką Tygodnika Wielkopolskiego, napisaną z szylerowską werwą. Cisza panowała uroczysta, przerywana tylko półgłosem jednego z naszych zacnych filologów, odczytującego właśnie swemu koledze, z Posenerką w ręku, niektóre ustępy z méj pierwszéj „Gawędy“. Rzuciwszy spojrzenie wdzięczności za te łaskawe względy dla mego płodu szanownym profesorom, wyszukałem Tygodnik, ale zaledwie zacząłem wpadać w zachwyt nad czystością języka mego przyjaciela, gdy nagle uderzył mnie jakiś gwar, niby głuche echo burzy, z pierwszéj komnaty. Słychać było wyraźnie potężny bas obok mniéj silnego dyszkantu a uszu moich doleciały jakby ostatnie rymy znanéj zwrotki z „Wesela przy latarniach“, kończącéj się w polskim przekładzie owemi tak wdzięcznie na scenie naszéj przez panie Doroszyńską i Krasowską powtarzanemi słowy:

. . . a on mnie w łapę, łapę, łapę —
. . . a ja go i t. d. i t. d.

Wszyscy w czytelni powstali zdumieni tym nadspodziewanym duetem. Wtém zagrzmiał w oddali jakiś głos trzeci, niby rozjemczy, poczém wrzawa umilkła, drzwi się otwarły i wszedł z pierwszéj komnaty mąż, z widocznym frasunkiem na obliczu.

— A to sławne; zaledwie trzy razy rozdano karty — i rozpisują pulę. Zapłaciłem parę talarów, nie wiedząc za co i po co. Dalibóg, już nigdy na Kółku w preferansa grać nie będę...

Rozśmialiśmy się mimowolnie a ja, uchodząc spiesznie do domu, pomyślałem sobie:

— Otóż znowu z pewnością jeden więcéj malkontent kółkowy i kandydat do drugiéj izby „Resursy...“

— Jakto, „do drugiéj izby?“ — zapytasz zapewne mój Władziu. — Zagadkę tę zaraz Ci wytłómaczę.

* * *

Po nad obszernemi salonami naszego poznańskiego Cheweta mieści się od lat kilku dostojne towarzystwo, które tém głównie od „Kółka“ się różni, iż założone przez obywateli z prowincyi, wyłącznie niemal z nich się rekrutuje i wszelkiego dokłada starania, by żywioły niewłaściwe doń się nie domieszały. Towarzystwo to, ku wspólnéj przeznaczone rozrywce, otrzymało od swych twórców konstytucyą, według któréj się rządzi, a która dzieli szlachetnych jego członków na dwa odrębne oddziały — izbę lordów i izbę gminnych. Co do attrybucyi swych różnią się wszakże obie izby Resursy od swego pierwowzoru. Podczas gdy w Wielkiéj Brytanii izba druga przeważny wywiera wpływ na ustrój państwa, zwala i wznosi gabinety, kieruje polityką na wewnątrz i zewnątrz, w Resursie izba druga nie posiada nawet prawa doradczego. Kto wstępując do Towarzystwa składa w ofierze 50 tal., ten od razu staje się członkiem izby panów czy lordów, współwłaścicielem nieruchomego i ruchomego inwentarza Resursy, a co najgłówniejsza: wolno mu głosować i rzucać czarną lub białą gałkę przy ballotowaniu kandydatów. Tymczasem izba gminnych, jakkolwiek także hojne opłaca podatki, skazaną jest na wieczne milczenie i pełne uszanowania podziwianie przezornych rozporządzeń izby lordów, otrzymując w zamian wysoki zaszczyt obcowania z nią... Boć rzeczywiście niemały to honor dla niejednego zaściankowego szaraczka, gdy mu wolno zasiąść do bakarata lub innéj gry niewinnéj przy jednym stole zielonym z karmazynami a czasami i mitrą... Resursa prócz tego posiada wszelkie warunki wykwintnego komfortu; masz w niéj i czytelnią bogato zaopatrzoną w pisma zagraniczne i krajowe, bilard francuski, wiedeńskie stoliki do kart i wyborne berlińskie fotele. Tubą, umyślnie na ten cel zaprowadzoną, można każdéj chwili bez zdrożnego hałasu rozsyłać rozkazy na dół do Cheveta, a ciężkie i miękkie dywany przytłumiają odgłos kroków służby, podającéj napoje lub potrawy, aby nie przerywała niedyskretnie wątku kombinacyi przy pikiecie lub preferansie. Słowem wszelkie silniejsze podnoszenie głosu surowo jest zakazane przepisami Resursy. Wszakże wiadomo powszechnie, że żadna na świecie reguła nie jest bez wyjątku. Któżby np. mógł wziąć za złe pomiędzy najlepiéj wychowaném ptastwem domowém, że kogut wrzaskliwiéj od swych wazalów pieje na własnéj grzędzie? Otóż i w Resursie wolno jéj kanclerzowi o każdéj porze nastrajać klawikord głosu na najwyższe tony... Nawet reprezentant firmy Cheveta, zkądinąd mąż i herbowny i nie pozwalający sobie, jak to mówią, dmuchać w kaszę, w pokorném milczeniu przyjmuje surowe nagany lorda kanclerza, jeśli przypadkiem suprême z kapłona nieco za twarde, lub kaczka w brunatnym zamiast w szarym podana jest sosie. W tak niefortunnych chwilach całe dostojne zgromadzenie czeka w przerażeniu, zanim się burza nie uspokoi... Ale na szczęście lord kanclerz zbyt długo gniewać się nie może, raz, że serce ma dobre i tkliwe, powtóre, że gniew szkodzi trawie-

niu... Gdy się zatém uśmiechem łagodnym rozpogodzi jego pulchne oblicze, gdy na znak powrotu dobrego humoru raczy tego lub owego poczęstować własnoręcznie hawańskiém cygarem — radość jest ogólna i zwolna powracają wszyscy do swych zatrudnień. Więc nie dziw, że do Resursy coraz więcéj zgłasza się kandydatów, podczas gdy z Kółka coraz częstsze zdarzają się dezercye. Ale nie tak to łatwa rzecz otrzymać dyplom do tego „arystokratycznego" grona. Gałki czarne padają jak grad przy głosowaniu, w którém, jak się rzekło powyżéj, tylko lordowie biorą udział. Obok przymiotów serca i zacnego urodzenia, wymaganą jest w Resursie nieposzlakowaność form towarzyskich, a w tym względzie nie możemy się w naszéj Wielkopolsce poszczycać zbytniém bogactwem odpowiednich kandydatów. Przyznasz więc, drogi Władziu, że Resursa zmuszając niejako do kształcenia się w manierach d'un bon gout, niemałe kładzie względem naszego społeczeństwa zasługi .. Inaczéj gotówby nawet p. Robert Schmidt, który, będąc członkiem Kółka bazarowego, posiada tę niedelikatność okazywania przy każdéj sposobności swéj polakożerczéj natury, podać się na członka Resursy... Nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło...

* * *

W końcu kilka nowin bieżących. Trzy przedewszystkiém wypadki zajmują nasze wielkomiejskie umysły: Wspaniały dar p. Bolesława Potockiego z Będlewa na rzecz narodowego teatru w Poznaniu; świetna prelekcya Karola Libelta w Bazarze i katastrofa noworoczna w Redakcyi Dziennika Poznańskiego.

Co do pierwszego powtórzyć Ci tylko mogę, co głos ogółu już dawno wypowiedział. P. Potocki dowiódł tym czynem, że prawdziwie pojmuje, jakie obowiązki względem kraju naklada historyczne nazwisko. Przysiągłbym, że żaden Pilawita ze Złotego Potoku nie powstydziłby się takiego krewniaka... Nietylko Księstwo, ale cała Polska przyklasnęły szlachetnemu dawcy.

O prelekcyi Libelta nie będę rozpisywać się szerzéj. Treść jéj podał już Dziennik a wszyscy, co na niéj byli, wynieśli wrażenie głębokie, jakie zawsze nauka obok daru wymowy wywierają na słuchaczach. Przeczytaj w „Estetyce" Dra Karola przepyszny ustęp o potędze słowa i cytat z Cormenin'a o improwizacyach Mirabeau'na... Libelt nie porywa ogniem tego króla wymowy, ale czaruje wdziękiem swego języka, przekonywa siłą swych wywodów... Bóg Mu zapłać za odczyt piątkowy!...

O trzecim wypadku, zaszłym w łonie Redakcyi „poznańskiego Timesa", na dziś tylko słówek parę.

Kiedym przeczytał „Słowo wstępne" nowéj Redakcyi, byłem rozczulony tą zgodnością jéj programu z programem poprzedniczki. Tymczasem w dziesięć dni późniéj, gdy powracając z rannéj Mszy od Fary przez ulicę Wrocławską, wstąpiłem do cukierni p. Urbańskiego na paszteciki — nawiasem mówiąc „idealne" — słyszę z boku następującą rozmowę:

— A to mu, Panie Dobrodzieju, dopieprzył...

— Kto komu, panie Wojciechu?

— Dziennik dzisiejszy Dziennikowi wczorajszemu. Nie czytałeś Panie Dobrodzieju, korespondencyi „Z prowincyi?"

— Jakto; więc w niéj sam Dziennik przeciwko sobie wystąpił?... To szczególna...

— Bo to widzisz, Panie Dobrodzieju! dziś nowy Redaktor, więc na dawnego wolno ciskać kamieniem.

— Ależ panie Wojciechu, to się przecież w poważnéj publicystyce dziać nie zwykło. Następca szanuje swego poprzednika już przez wzgląd koleżeństwa i aby nie podkopywać powagi pisma...

— Tere fere, Panie Dobrodzieju — poezya i basta. Wczoraj pod, dziś na wozie...

— Der Moor hat seine Schuldigkeit gethan, der Moor kann gehen — mruknął z pod okna ktoś trzeci...

— Ależ Panowie, to tylko redaktorskie lapsus calami a nie zła wola. Poczekajcie chwilkę a przekonacie się, że dwaj chwilowi rywale podadzą sobie niebawem bratnie dłonie, — wszakże pracują dla jednéj sprawy i obaj pragną dobra ogółu — szepnął z cicha jakiś optymista.

A ja, mimowoli westchnąwszy, dodałem...

— Co daj Boże!... i odszedłem do domu, by napisać ten list do Ciebie.

Do zobaczenia, Drogi Władziu! **Toujours le Même.**

Szarada.

Czwarte pierwsze, naród dziki,
Na kończynach gdzieś Afryki,
Drugie trzecie dobre w zimie,
Wszystko wreszcie żeńskie imie.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 3: *Apostata.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu Łączk . . . . . Za życzliwość Jego dla pisma naszego dziękujemy — wymianą numeru w każdéj chwili służymy. Co do teatru udaj się pan pod adresem komitetu zajmującego się tą sprawą: „Wielmożny Śmitkowski w Poznaniu, Hôtel du Nord." — Pani Anieli pod Gołubiem: Anons w tym numerze zamieszczony objaśni ją najlepiéj. Oczekujemy więc polecenia. — Panu Chrza . . . . na Szląsku: Zwróciliśmy manuskrypt — chyba więc na poczcie zaginął. — Panu Krótkiemu w Inowrocławiu: List mamy, ale odszukać go w téj chwili nie możemy. Jeżeli się znajdzie to go panu przeszlemy — w przeciwnym razie zrób Pan co mu się podoba.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)